

## **STAROTESTAMENTALNY OBRAZ BOGA ZNAKIEM *OMNIPOTENS DEI*. MORZE ZNAKIEM WSZECHPOTĘGI BOGA\***

### WSTĘP

Jestem zaszczycony możliwością udziału w niniejszym sympozjum, tym bardziej, że połączony jest on z prezentacją moich własnych przemyśleń dotyczących morza w cywilizacji, kulturze i stosunkach międzynarodowych. Organizatorom konferencji gratuluję pomysłu i determinacji w przygotowaniu tak ciekawej tematyki. Powodem dodatkowej radości jest interdyscyplinarność spojrzenia na interesujące nas zjawisko. Poszerza to horyzont naszej analizy, równocześnie jednak może prowadzić do pewnego bałaganu metodologicznego. Zakres naszych zainteresowań ogarnia przecież problemy cywilizacyjne i kulturalne, które w jakiejś mierze przenikają się między sobą, morskie stosunki międzynarodowe już chyba jednak nie zawsze i nie do końca. Czy można bowiem łączyć tematykę morską w ujęciu ekonomicznym, historycznym, nawigacyjnym czy duchowym? Nawet, jeżeli tak, to jak to czynić? Jakim kluczem się posłużyć?

Od razu chciałbym zaznaczyć, że nie stanowi to żadnej trudności dla autora niniejszego opracowania. Nie można przecież ograniczać tego, co nazywamy morzem — w całej złożoności jego zjawiska — wyłącznie do wymiaru prakseologii produkcji i opłacalności, dajmy na to, infrastruktury morskiej, czy na przykład efektu cieplarnianego z jego negatywnymi konsekwencjami dla gospodarki morskiej. Oczywiście, że można i należy kroczyć tą drogą. Ścisła specjalizacja jest tu czymś jak najbardziej pożądanym. Ogranicza ona jednak złożoność i głębię fenomenu, który nazywamy morzem. Myślę tu o jego wymiarze duchowym, estetycznym czy wręcz mistycznym. Któż z nas nie zachwycał się pięknem i potęgą morza? Któż nie został porwany harmonią i spokojem szumu fal morskich, które prowadzą do spokoju i kontemplacji? Z czym można porównać czar rafy koralowej z bogactwem i kolorytem jej życia? Przykładów można byłoby mnożyć. Proszę się jednak nie obawiać, autor niniejszego opracowania nie zamierza popadać w tani sentymentalizm. Przeciwnie, pragnie stać na straży zdroworozsądkowego realizmu. Ten z kolei podpowiada, że w obliczu złożoności fenomenu tego, czym jest morze, zarzut pewnego bałaganu metodologicznego wynikający z interdyscyplinarności

---

\* Referat wygłoszony w maju 2002 r. w Gdyni-Oksywiu, podczas sesji nt. „Interdyscyplinarność morza w kulturze współczesnego człowieka”.

spojrzenia na interesujące nas zjawisko, po prostu jest śmieszny i niepoważny. Podkreślmy raz jeszcze — morze zasługuje na spojrzenie kompleksowe i integralne. Dobrze więc, że się tu spotykamy i mówimy o nim językiem filozofii i teologii, marketingu i ekonomii, ba nawet kategoriami militarnymi i batalistycznymi.

## KULTUROTWÓRCZO-CYWILIZACYJNA WYJĄTKOWOŚĆ TEMATU

Tematem niniejszego opracowania jest morze jako znak wszechpotęgi Boga. Wpisuje się on w szeroko rozumianą optykę cywilizacyjną i przede wszystkim kulturotwórczą morza łączonego się od zarania dziejów ze sferą oddziaływania *sacrum*, a co za tym idzie Boga. Bóg i morze stanowiły sferę wzajemnych powiązań i zależności. Morze, będąc symbolem nieskończoności, potęgi, niezgłębionego bogactwa, energii życiowej, oczyszczenia, odkryć i przygody, było przede wszystkim zwornikiem między niebem a ziemią. Ograniczając się wyłącznie do starożytnej Grecji zauważmy, że jest ono *pośrednią formą materii między gazową atmosferą nieba, a łądem statym; rzeką, w której Słońce co wieczór tonie i z której co rano się wynurza*. I nawet, jeżeli (...) *po odkryciu oddziaływania Księżyca na pływy morskie ujrano w oceanie pośrednika między gwiazdami a Ziemią*, pozostało ono na zawsze znakiem sił kosmicznych odwołujących człowieka do czegoś więcej, co przekracza jego ziemską egzystencję. W tym miejscu wystarczy odwołać się do jakże licznych mitologicznych bóstw morskich. Oprócz powszechnie znanego Posejdoną wymieńmy tu Nereusa, boga bieżącej, świeżej wody, opiekuna żeglarzy, jednego ze Starców Morskich; Okeanosa, pierworodnego syna Uranosa i Gai (bogów nieba i ziemi), pana mórz i ojca niezliczonych nimf morskich; Glaukosa, rybaka beockiego, który po zjedzeniu cudownego ziela stał się nieśmiertelnym Starcem Morskim, czczonym przez marynarzy i rybaków; dalej idą Proteusz, Tryton, Ino — przykładów można byłoby jeszcze podawać więcej.

W tym miejscu wypada jednak ograniczyć się do kultury chrześcijańskiej i zauważyć od razu, że temat morze znakiem wszechpotęgi Boga może prowadzić do pewnego rodzaju nieporozumień. Interesująca nas tematyka analizowana jest w kluczu języka teologicznego, teologia zaś to nauka o Bogu a nie — przepraszam za kolokwialną banalność stwierdzenia — o morzu. Jeżeli mamy mówić o morzu to tylko pod warunkiem, że będzie miało ono stały punkt odniesienia do Boga jako źródła i istoty tego, co nazywamy morzem. Pozwoli to nam uniknąć nieporozumień i doprowadzi do uporządkowania metodologicznego. Bóg więc a nie morze jest tu dla nas najważniejszy. Morze, fakt jego istnienia i tajemnicy będzie nas prowadził do pytania o to, skąd się ono wzięło? Dlaczego jest czymś tak fascynującym? Co sprawia, że nie można przejść obok niego obojętnie?

Odpowiedź autora niniejszego opracowania jest prosta. Tym „czymś” jest Bóg, jedyny autentyczny i wiarygodny sprawca tego, co nazywamy morzem. W ten sposób mamy do czynienia ze swoistego rodzaju sprzężeniem zwrotnym: Bóg jest dawcą morza a morze jest znakiem Boga. Idąc dalej widzimy jedyną w swoim rodzaju wyjątkowość interesującego nas tematu. Jest on bardzo aktualny i atrakcyjny. Morze jako takie jest bowiem znakiem czytelnym i przejrzystym. Ukazując swoją potęgę, wielkość i nieograniczoność prowadzi z jednej strony do lęku

z drugiej jednak jest przedmiotem fascynacji i zachwytu. Człowiek pragnie je wykorzystać i ujarzmić, często jednak staje w obliczu swoich ograniczeń i porażek. Morze po prostu przewyższa go swoim ogromem. W ten sposób od zarania dziejów jest ono symbolem tak życia jak i śmierci, sukcesu i porażki. Taki stan rzeczy nie prowadzi jednak do apatii i rezygnacji. Bynajmniej, jest przedmiotem ciągłych wyzwań. Wskazuje na tak charakterystyczne dla człowieka nieustanne pragnienie, by przekraczać siebie samego, szukać sensu własnej egzystencji w nieskończoności i wieczności, których znakiem jest morze.

Złożenie morze – Bóg prowadzi w ten sposób do pytania o człowieka, o źródło jego istnienia, o sens życia i o to, kim on jest. W ten sposób dochodzimy do zwornika interesującego nas tematu. Jest nim człowiek. Analiza zajmującej nas tematyki pozbawiona wymiaru antropocentrycznego prowadziłaby na manowce. Jeżeli istnieje Bóg, jeżeli istnieje morze, to — w jakiejś mierze — tylko dlatego, że istnieje człowiek. To jemu zostało ono dane i przeznaczone. Nie przypadkowo więc kłamrą łączącą interesujący nas temat jest stworzenie. Bóg powołując świat do istnienia — nim pojawił się człowiek — rozpoczyna swe dzieło od stworzenia światła i ciemności, ziemi i morza. Woda, w konsekwencji więc i morze, a co za tym idzie jej rola i znaczenie stoją w centrum tego, co nie było, a mocą stwórczą zaistniało. Doprowadza nas to do dwóch zasadniczych konsekwencji:

- woda od samego zarania ludzkości jest źródłem i istotą życia,
- sukcesywnie, wraz z rozwojem historii zbawienia woda jest narzędziem i znakiem oczyszczenia.

Śledząc karty teologii biblijnej bez trudu odkrywamy, że tajemnica wody jest tajemnicą życia. Gdzie jest woda jest życie. Równocześnie jest ona podstawą i bazą oczyszczenia tak w wymiarze zewnętrznym jak i wewnętrznym. Wystarczy wspomnieć rytualne ablucje czy rolę, jaką odgrywa ona w chrzcie świętym. Bez wody nie można być po prostu czystym. Nie przypadkowo w chrześcijaństwie wodę się święci i w ten sposób otrzymuje ona wyjątkową moc w walce ze złem. Odnosi się to także do morza. Wody potopu mają moc oczyszczającą, nawet jeżeli są źródłem kataklizmu i śmierci. Biblijny Jonasz nie przypadkowo morze wybiera jako miejsce ucieczki, które ostatecznie stanie się źródłem jego odrodzenia. Nie jest zbiegiem okoliczności, że Morze Tyberiadzkie będzie ulubionym miejscem nauczania i cudów Jezusa. Uczciwość badawcza nakazuje jednak zauważyć, że nie tyle morze, co woda jako taka odgrywa tu rolę decydującą.

## NIEBEZPIECZEŃSTWO UPROSZCZEŃ

Powyżej stwierdziliśmy już, że temat morza nie jest centralny dla biblii i teologii. Chrześcijaństwo różni się tu zasadniczo od innych systemów religijnych. Większość z nich traktuje morze w kategoriach kultycznych. Jest ono żywiołem trudnym do ujarznienia, przewyższającym przyrodzone siły człowieka. Będąc źródłem życia, wprowadza porządek w świecie pierwotnego chaosu i bezładu. Pomimo to budzi lęk i trwogę. To dlatego staje się przedmiotem apoteozy czy wręcz personifikacją bóstwa. W takiej optyce mitologizacja morza wydaje się być czymś logicznym i usprawiedliwionym, nie dla chrześcijaństwa jednak. W chrześ-

spojrzenia na interesujące nas zjawisko, po prostu jest śmieszny i niepoważny. Podkreślmy raz jeszcze — morze zasługuje na spojrzenie kompleksowe i integralne. Dobrze więc, że się tu spotykamy i mówimy o nim językiem filozofii i teologii, marketingu i ekonomii, ba nawet kategoriami militarnymi i batalistycznymi.

## KULTUROTWÓRCZO-CYWILIZACYJNA WYJĄTKOWOŚĆ TEMATU

Tematem niniejszego opracowania jest morze jako znak wszechpotęgi Boga. Wpisuje się on w szeroko rozumianą optykę cywilizacyjną i przede wszystkim kulturotwórczą morza łączonego się od zarania dziejów ze sferą oddziaływania *sacrum*, a co za tym idzie Boga. Bóg i morze stanowiły sferę wzajemnych powiązań i zależności. Morze, będąc symbolem nieskończoności, potęgi, niezgłębionego bogactwa, energii życiowej, oczyszczenia, odkryć i przygody, było przede wszystkim zwornikiem między niebem a ziemią. Ograniczając się wyłącznie do starożytnej Grecji zauważmy, że jest ono *pośrednią formą materii między gazową atmosferą nieba, a łądem statym; rzeką, w której Słońce co wieczór tonie i z której co rano się wynurza*. I nawet, jeżeli (...) *po odkryciu oddziaływania Księżyca na pływy morskie ujrzano w oceanie pośrednika między gwiazdami a Ziemią*, pozostało ono na zawsze znakiem sił kosmicznych odwołujących człowieka do czegoś więcej, co przekracza jego ziemską egzystencję. W tym miejscu wystarczy odwołać się do jakże licznych mitologicznych bóstw morskich. Oprócz powszechnie znanego Posejdona wymieńmy tu Nereusa, boga bieżącej, świeżej wody, opiekuna żeglarzy, jednego ze Starców Morskich; Okeanosa, pierworodnego syna Uranosa i Gai (bogów nieba i ziemi), pana mórz i ojca niezliczonych nimf morskich; Glaukosa, rybaka beockiego, który po zjedzeniu cudownego ziela stał się nieśmiertelnym Starcem Morskim, czczonym przez marynarzy i rybaków; dalej idą Proteusz, Tryton, Ino — przykładów można byłoby jeszcze podawać więcej.

W tym miejscu wypada jednak ograniczyć się do kultury chrześcijańskiej i zauważyć od razu, że temat morze znakiem wszechpotęgi Boga może prowadzić do pewnego rodzaju nieporozumień. Interesująca nas tematyka analizowana jest w kluczu języka teologicznego, teologia zaś to nauka o Bogu a nie — przepraszam za kolokwialną banalność stwierdzenia — o morzu. Jeżeli mamy mówić o morzu to tylko pod warunkiem, że będzie miało ono stały punkt odniesienia do Boga jako źródła i istoty tego, co nazywamy morzem. Pozwoli to nam uniknąć nieporozumień i doprowadzi do uporządkowania metodologicznego. Bóg więc a nie morze jest tu dla nas najważniejszy. Morze, fakt jego istnienia i tajemnicy będzie nas prowadził do pytania o to, skąd się ono wzięło? Dlaczego jest czymś tak fascynującym? Co sprawia, że nie można przejść obok niego obojętnie?

Odpowiedź autora niniejszego opracowania jest prosta. Tym „czymś” jest Bóg, jedyny autentyczny i wiarygodny sprawca tego, co nazywamy morzem. W ten sposób mamy do czynienia ze swoistego rodzaju sprzężeniem zwrotnym: Bóg jest dawcą morza a morze jest znakiem Boga. Idąc dalej widzimy jedyną w swoim rodzaju wyjątkowość interesującego nas tematu. Jest on bardzo aktualny i atrakcyjny. Morze jako takie jest bowiem znakiem czytelnym i przejrzystym. Ukazując swoją potęgę, wielkość i nieograniczoność prowadzi z jednej strony do lęku

z drugiej jednak jest przedmiotem fascynacji i zachwytu. Człowiek pragnie je wykorzystać i ujarzmić, często jednak staje w obliczu swoich ograniczeń i porażek. Morze po prostu przewyższa go swoim ogromem. W ten sposób od zarania dziejów jest ono symbolem tak życia jak i śmierci, sukcesu i porażki. Taki stan rzeczy nie prowadzi jednak do apatii i rezygnacji. Bynajmniej, jest przedmiotem ciągłych wyzwań. Wskazuje na tak charakterystyczne dla człowieka nieustanne pragnienie, by przekraczać siebie samego, szukać sensu własnej egzystencji w nieskończoności i wieczności, których znakiem jest morze.

Złożenie morze – Bóg prowadzi w ten sposób do pytania o człowieka, o źródło jego istnienia, o sens życia i o to, kim on jest. W ten sposób dochodzimy do zwornika interesującego nas tematu. Jest nim człowiek. Analiza zajmującej nas tematyki pozbawiona wymiaru antropocentrycznego prowadziłaby na manowce. Jeżeli istnieje Bóg, jeżeli istnieje morze, to — w jakiejś mierze — tylko dlatego, że istnieje człowiek. To jemu zostało ono dane i przeznaczone. Nie przypadkowo więc klamrą łączącą interesujący nas temat jest stworzenie. Bóg powołując świat do istnienia — nim pojawił się człowiek — rozpoczyna swe dzieło od stworzenia światła i ciemności, ziemi i morza. Woda, w konsekwencji więc i morze, a co za tym idzie jej rola i znaczenie stoją w centrum tego, co nie było, a mocą stwórczą zaistniało. Doprowadza nas to do dwóch zasadniczych konsekwencji:

— woda od samego zarania ludzkości jest źródłem i istotą życia,

— sukcesywnie, wraz z rozwojem historii zbawienie woda jest narzędziem i znakiem oczyszczenia.

Śledząc karty teologii biblijnej bez trudu odkrywamy, że tajemnica wody jest tajemnicą życia. Gdzie jest woda jest życie. Równocześnie jest ona podstawą i bazą oczyszczenia tak w wymiarze zewnętrznym jak i wewnętrznym. Wystarczy wspomnieć rytualne ablucje czy rolę, jaką odgrywa ona w chrzcie świętym. Bez wody nie można być po prostu czystym. Nie przypadkowo w chrześcijaństwie wodę się święci i w ten sposób otrzymuje ona wyjątkową moc w walce ze złem. Odnosi się to także do morza. Wody potopu mają moc oczyszczającą, nawet jeżeli są źródłem kataklizmu i śmierci. Biblijny Jonasz nie przypadkowo morze wybiera jako miejsce ucieczki, które ostatecznie stanie się źródłem jego odrodzenia. Nie jest zbiegiem okoliczności, że Morze Tyberiadzkie będzie ulubionym miejscem nauczania i cudów Jezusa. Uczciwość badawcza nakazuje jednak zauważyć, że nie tyle morze, co woda jako taka odgrywa tu rolę decydującą.

## NIEBEZPIECZEŃSTWO UPROSZCZEŃ

Powyżej stwierdziliśmy już, że temat morza nie jest centralny dla biblii i teologii. Chrześcijaństwo różni się tu zasadniczo od innych systemów religijnych. Większość z nich traktuje morze w kategoriach kultycznych. Jest ono żywiołem trudnym do ujarznienia, przewyższającym przyrodzone siły człowieka. Będąc źródłem życia, wprowadza porządek w świecie pierwotnego chaosu i bezładu. Pomimo to budzi lęk i trwogę. To dlatego staje się przedmiotem apoteozy czy wręcz personifikacją bóstwa. W takiej optyce mitologizacja morza wydaje się być czymś logicznym i usprawiedliwionym, nie dla chrześcijaństwa jednak. W chrześ-

cijaństwie, od samego zarania historii zbawienia, morze jest narzędziem w rękę Boga. Jest ono wielkie, wspaniałe, ale tylko jako dzieło stworzenia, które swoją potęgą wskazuje na Stwórcę, Autora jego istnienia. Najbardziej podstawową racją jego egzystencji jest fakt, że chwali ono nią, Tego, który je stworzył. Istotą tego, że ono jest, jest „kabot Jahwe” — nieustanne uwielbienie Boga tak swoim ogromem i potęgą, jak i pięknem swojego uroku. W konsekwencji prowadzi ono do bojaźni Bożej, czyli podziwu oddawanemu Bogu i pokornej ufności zdania się na wyroki Opatrzności. Nie chaos i nieustanna walka żywiołów, tak charakterystyczna dla wielu religii, lecz harmonia świata, której znakiem jest regularność praw, którymi rządzą się oceany — oto istota tego, co Bóg mówi o morzu na kartach biblii. I nawet, jeżeli będzie ono wzbudzało strach, będąc miejscem przebywania mitycznego lewiatana, nigdy nie będzie przedmiotem kultu czy deifikacji. Co więcej, nazwane czasem „morzem ognia”, czyli synonimem piekła, zostanie bezpowrotnie pokonane mocą samego Boga. Ostatecznie bowiem, na końcu czasów, morza już nie będzie, gdyż pozostanie wyłącznie wieczność i bycie z Bogiem.

Mówiąc o morzu jako znaku Boga teologia chrześcijańska stawia nas w obliczu jednej z najbardziej fundamentalnych prawd — niebezpieczeństwa idolatrii. Istotą procesu zbawczego człowieka jest bowiem wiara w jednego i jedyne Boga. Sprzeniewierzenie się tej wierze, jakkolwiek forma bałwochwalstwa będzie traktowana jako największe zaparcie się samemu Bogu. Nazywane ono będzie „cudzołóstwem” a uleganie mu jest — używając języka biblijnego — przejawem największej głupoty. Nie dziwi więc, że tak naprawdę morze w interesującym nas ujęciu nigdy nie było przedmiotem apoteozy. Mógł nim być posąg Baala czy Aszery, kult złotego cielca, ale nie morze. Prawdę tę przejęła późniejsza myśl teologiczna traktując morze wyłącznie jako znak wskazujący na Boga, a jeszcze precyzyjnie — na Jego wszechmoc i potęgę. Pozostało to do naszych czasów. Nikt przecież zdrowo myślący nie będzie „ubóstwiał” morza. Trzeba traktować to jako wielki krok w rozwoju cywilizacji, co zawdzięczamy bez cienia wątpliwości właśnie chrześcijaństwu. Wbrew pozorom problem ten jest jednak wciąż aktualny. Na pewno nie tak ostro jak w czasach biblijnych, lecz w jakiejś części szczątkowej na pewno. Myślmy tu o przesądach i zabobonach związanych z morzem, które niewątpliwie wskazują w pewnej mierze na jego deifikację. Nie jest to jednak przedmiotem niniejszego opracowania. Opis i analizę szczegółową tych zjawisk zostawiamy specjalistom od etnologii i etnografii.

Mówiąc o niebezpieczeństwach wynikających z nadmiernego pomieszania znaczeń morza i Boga weszliśmy w ten sposób w czasy współczesne, by zauważyć od razu, że interesujący nas temat podlega procesowi dalszych przemian. Myślmy tu o synkretyzmie religijnym, o bardzo złożonym w swoim charakterze fenomenie *New Age* oraz o postmodernizmie. Wbrew pozorom wszystkie wzmiankowane powyżej tendencje wzajemnie przenikają się i uzupełniają. W dobie powszechnej globalizacji i uproszczonych działań pseudo-ekumenicznych w podejściu do Boga króluje wybiórczość religijna połączona z koniunkturalnym dopasowywaniem przeróżnych idei czerpanych z tej czy tamtej myśli teologicznej. I tak na przykład, historia biblijnego potopu to nic innego jak przeróbka sumeryjskiego podania o Gilgameszu, a fakt, że Jezus chodził po falach morskich nie może dziwić, bo

nauczył się tego podczas swojego życia ukrytego u braminów w Indiach. Przykładów tych, które z pożałowania godną łatwością mieszają racje poważne z tymi, które są po prostu śmieszne można by mnożyć. Przestają one być jednak zabawne, gdy zestawimy je z masowo-popularyzatorskim charakterem ich propagowania i zamieszaniem, które wywołują. Wszystko staje się w ten sposób względne i zależy wyłącznie od użytego klucza interpretacji. Prawda jest czymś subiektywnym a religia nie kryje w sobie nic z *sacrum*. To z kolei jest już postmodernizm w najczystszej postaci. Dodać do tego trzeba „alergie” na chrześcijaństwo. *New Age* głosi — jak sama nazwa wskazuje — początek nowego wieku. Nie ma w nim już miejsca na wiarę w Chrystusa. Nie oznacza to jednak jakiegś totalnej walki z chrześcijaństwem. Zastępowane jest ono wszechobecną tolerancją i poprawnością religijną, co prowadzi z kolei do taktownego pomijania tego, czym ono naprawdę jest. Ekspozuje się wyłącznie element ludzki i etyczny chrześcijaństwa, niwelując zeń, to, co nadprzyrodzone i święte. W ten sposób morze nabiera innego znaczenia a jego rola nie jest już tylko znakiem wszechmocy Boga. W rzeczywistości postmodernistycznej jest ono znakiem kontemplacji, medytacją, czy wręcz ukojenia. Szukając zaś tego, co najbardziej pierwotne dla symboliki morskiej w odpowiedzi słyszymy, że tym czymś jest morze jako obraz tajemnicy człowieka. Jest ono wyrazem głębi jego jaźni i fluidem tego, co misteryjne. Interesujące nas zestawienie Bóg — morze zmienia się w paralelę człowiek — morze. Temat Boga natomiast rozmydla się w panteistycznym rozważaniu, że On jest wszędzie i wszystko jest Nim. Nie oznacza to, że symbolika morza jako znaku transcendencji Boga znika całkowicie, wypierana jest jednak zeń przez wspomniany powyżej wymiar immanentny.

Zauważmy więc, że tak jak dla starożytności niebezpieczne było deifikowanie morza, tak dla współczesności groźnym jest jego horyzontalizm sprowadzony do wymiaru czysto prakseologicznego. U jego źródeł tkwi antropocentryzm teraźniejszej kultury i redukcja ponadczasowego wymiaru morza do jego wymiaru terapeutyczno-kontemplacyjnego. Takie są fakty, na które nie wolno nam się obrażać. Zauważyć jednak trzeba, że morze — jeżeli jest rzeczywistym znakiem Boga — obroni się samo i nie potrzebuje żadnej pomocy z naszej strony.

## PRAWDA ANALOGII PORÓWNANIA

Mówiąc o morzu w kategoriach wszechpotęgi Boga doszliśmy do momentu, w którym skupić się należy na drugim członie interesującego nas zjawiska — wszechpotędze. Jest ona atrybutem, czyli znakiem wskazującym na Boga, jak i próbą wyrażenia tego, kim On naprawdę jest. Używając języka Arystotelesa i Tomasza z Akwinu atrybut jest konieczną i istotną właściwością przysługującą Absolutowi, czyli Bogu. Język klasycznej filozofii używa parametru wszechpotęgi Boga by przedstawić Go jako Akt Czysty, Najdoskonalsze Archm, Najwyższe Dobro, Pełnię Istoty i Istnienia, itd. Chrześcijaństwo nie rezygnuje z tej terminologii uzupełniając ją elementami historio-zbawczymi i personalistycznymi. Wszechmoc, znak potęgi Boga nie jest pojęciem teoretycznym, wytworem abstraktu ludzkich przemyśleń, punktem odniesień spekulatywno-dedukcyjnych. Jest ona

przede wszystkim konkretnie doświadczalną obecnością Boga potwierdzoną ostatecznie wcieleniem Jezusa Chrystusa.

Zanim pojawi się ona w pełni, w tych kategoriach, w jakich ją znamy obecnie w chrześcijaństwie przechodzi ona swoistego rodzaju proces oczyszczenia. Patrząc na język kształtującego się mówienia o Bogu wszechmoc pojawia się stosunkowo szybko, lecz nie na zasadzie atrybutu samodzielnego i niezależnego. Jest ona bowiem nierozzerwalnie związana z pojęciem Boga Jedynego i Świętego. Wskazuje na przymiot Jego transcendencji. Ma budzić lęk i podziw w obliczu Kogoś, kto jest tak wielki i potężny. Innymi słowy stoi na straży monoteizmu i jest przedmiotem „walki” z innymi bogami. „Któż równy jest Tobie? Potężny jesteś Panie” (Ps 89, 9). „Żaden inny nie może się z Tobą równać” (Ba 3, 36) — mówi Pismo Święte. Równocześnie jednak wszechpotęga Boga nigdy nie jest oderwana od konkretów ludzkiej egzystencji, gdyż łączy się z pojęciem Boga Stwórcy. Wszechmoc Boga nie istnieje „wyłącznie dla siebie”. Jej celem jest wskazywanie na Boga, jest znakiem tego, jakim On jest. Trudno przecież wyobrazić sobie Boga, który nie byłby wszechpotężny. Z drugiej jednak strony miejscem jej aktywności jest świat i żyjący w nim człowiek. Doświadczenie kruchości ludzkiej egzystencji i ogrom potęgi tego, co ją otacza spotykają się tu nie z lękiem i bojaźnią, lecz praktyką Boga, który obdarza człowieka życiem i miłością. Bez cienia wątpliwości ma więc ona charakter sprawczy, nakierujący człowieka na Boga.

Doświadczając i opisując fenomen wszechmocy Bożej chrześcijaństwo spotkało się z trudnością wynikająca z nieuchronnego przenikania się i wpływu kultury greckiej. Cywilizacja antyczna mówiła przecież o bogu stwórcy korzystając przy tym z pojęcia jego wszechpotęgi. Określała go mianem Pantokratora. Termin ten nie utożsamia się jednak jednoznacznie z chrześcijańskim pojęciem Bóg wszechmogący. Jego greckie tłumaczenie oznacza wszechwładcę, czyli włodarza wszystkiego, co istnieje. Tak rozumiany bóg jest hegemonem, swoistego rodzaju oligarchą stojącym ponad wszystkim. Najbardziej oddającym istotę tego terminu jest słowo pan, gdyż bóg, o którym mówimy stworzył świat, wprowadził niezmiennie prawa porządkujące pierwotny chaos, lecz teraz nim się już właściwie nie interesuje. Termin wszechpotęga oznacza więc boga w sobie, który budzi podziw i lęk, a nie kogoś, kto wszechmocą ingeruje i interesuje się światem. Chrześcijaństwo nie mogło zgodzić się na coś takiego. Bóg, o którym mówi jest wszechmogący tak w sobie jak i na zewnątrz, dla człowieka. Używa ono tu nowego terminu *Omnipotens*. Pozornie różnica wydaje się być nieznaczna. Nic bardziej mylnego, gdyż termin chrześcijański wskazuje na Boga całym sobą zaangażowanego w świat, który istnieje. Nie jest On jakimś demiurgiem, pierwszym poruszcycielem, ale wszechmogącym Bogiem. Bóg ten wchodzi w konkretne życie każdego człowieka. Jego wszechmoc potrafi zmienić każdą sytuację i każdy problem. Od tej pory ma ona wymiar nie tylko filozoficzny, lecz także moralny i zbawczy, dotyczy bowiem sytuacji zła i grzechu, które Bóg swoją potęgą chce i może zmienić. W starożytności na coś takiego nie było miejsca. Bóg nie mógł się zniżyć aż do takiego poziomu. Pantokrator był w jakiejś mierze ograniczony przymiotem predestynacji. To co miało się stać i tak się stanie, gdyż nad wszystkim jest nieuchronność fatum. Nie przypadkowo więc Grecy udawali się do wyroczni, by u nich szukać prawdy o swoim życiu. Chrześcijaństwo nie mogło zgodzić się z taką wizją Boga i świata.



Wprowadza więc nowy termin określający wszechmoc Boga zaangażowanego w losy człowieka. Tym pojęciem była „*providentia divina*”. Określenie to przetłumaczyć należy jako widzenie uprzedzające. Historią świata rządzą nie tylko odwieczne i doskonałe wyroki Bożej miłości. Jest ona wciąż weryfikowana i wystawiana na próbę czynami człowieka, te zaś są niczym nie skrepowane i nie zawsze słuszne i dobre. Czyny te nie są jednak żadnym fatum, nie muszą się stać zawsze i wszędzie. Nie ma tu miejsca na „*predestinatio*” lecz na „*providentio*” Boże. Bóg przewiduje je i swoją potęgą interweniuje dając szansę na zmianę zaistniałej sytuacji.

Zwornikiem wszechmocy Boga jest więc Jego opatrność. Nie wdając się więcej w zawitości terminologii greckiej i łacińskiej oraz dywagacje natury historyczno-filozoficznej, wystarczy podkreślić, że celem wszechpotęgi Bożej nie jest Bóg sam w sobie lecz człowiek stworzony i kochany przez Boga. Wszechmogący Bóg tak bardzo się nim interesuje, że nigdy nie pozostawia go samego, szczególnie zaś w sytuacjach trudnych i krytycznych. Będąc przy nim opatruje go i nieustannie czuwa nad nim. Nie może więc dziwić, że tak naprawdę atrybut wszechmocy najpełniej objawia i realizuje się w opatrności Bożej. Nie przypadkowo też znak tej opatrności — miłosierdzie Boże określane będzie terminem głębin oceanu, które nie mają końca i zawsze są otwarte dla człowieka.

## MORZE — PRAWDA, KTÓRA BRONI SIĘ SAMA SOBĄ

Celem niniejszego opracowania była analiza tematu: morze znakiem wszechpotęgi Boga. Siłą rzeczy musieliśmy posługiwać się tu językiem analogii. Nie można przecież postawić znaku równości między dwoma członami interesującej nas problematyki. Morze ujęte w klamry teologiczne pozostaje bowiem kategorią porównania, przenośni, paraleli względem czegoś, co ostatecznie je przewyższa. Jest ono znakiem, który ukierunkowuje na Boga, równocześnie jednak zaciemnia i redukuje całą złożoność tego, Kim jest Pan Bóg. To stąd płynie wzmiankowane przez nas niebezpieczeństwo deifikacji morza obecne jeszcze dotąd w niektórych pierwotnych systemach religijnych. Z drugiej strony nie może być ono zredukowane pseudofilozoficznymi rozważaniami postmodernizmu czy religijno-terapeutycznymi wskazaniem *New Age*. Co więcej, nie można zapominać, że morze wskazując na Boga, jest przede wszystkim znakiem Jego wszechpotęgi, a nie Boga jako takiego. Konsekwencja takiego stanu rzeczy jest konstatacja, że morze wskazując na wszechpotęgę Boga ukazuje Go takim, jakim On jest tak w sobie samy, jak i na zewnątrz dla człowieka. Szukając więc chrześcijańskiego wyróżnika tego czym jest morze w ukazaniu Boga trzeba stwierdzić, że tym czymś jest paralela między wszechmocą Bożą i Jego opatrnością. Ogrom majestatu Bożego nie służy bowiem w chrześcijaństwie jako podstawa do lęku i trwogi. Bynajmniej, jest źródłem ufności i dobra, których dawcą jest Bóg Stwórca.

Niniejsze opracowanie nie kończy się jednak powyższymi konkluzjami. W tym miejscu rodzi się pytanie o wnioski płynące na przyszłość. Upraszczać można je zawrzeć w trzech punktach: